

prof. dr hab.
Jacek Kolbuszewski

Przyroda jako wartość

Podjęcie wywodów i argumentacji uzasadniającej celowość i konieczność różnorodnych działań na rzecz ochrony przyrody i naturalnego środowiska człowieka przez uczestników Kongresu Krajoznawstwa PTTK, a zatem przed zespołem słuchaczy rzeczy świadomych, stawia prelegenta w sytuacji niekonfliktowej i przypomina po trosze apostołowanie wśród wyznawców, fakt ten jednak w najmniejszym stopniu nie uwalnia nas od obowiązku gruntownego penetrowania owej problematyki. Wynika ten obowiązek z jednej strony z racji czysto poznawczych, służących jednak wyraźnym celom praktycznym, idzie tu bowiem o ukształtowanie takiej wspólnej, zbiorowej strategii działań, które by działalność na tym polu w sposób autentyczny urzeczywistniały, choć bowiem wiele się w Polsce w tym względzie zmieniło na korzyść, to jednak ciągle znajdujemy się w zaklętym kręgu działań pozornych lub fragmentarycznych, ozdobna zaś retoryka ciągle jeszcze dominuje nad konkretnymi działaniami. Z drugiej zaś strony ów obowiązek drążenia i analizowania owej problematyki wynika z absolutnej dziś konieczności daleko idącego przeobrażenia świadomości zbiorowej. Idzie tu zatem o znalezienie i wypracowanie takich form perswazji — takich argumentów, które by nie tyle formalnie przekonały opinię publiczną

o tym, że za ochronę przyrody i środowiska odpowiedzialny jest każdy człowiek, że każdy ma tu do spełnienia swoje „quantum satis” obowiązków, że każdy ma możliwość rzeczywistego oddziaływania na tym polu, że wreszcie niemal każdy człowiek bezpośrednio wpływa czy to na pogorszenie się stanu owego środowiska, czy — rzadziej — na jego polepszenie. W szerokiej bowiem świadomości społecznej mamy dziś do czynienia wręcz z przekonaniem, iż społeczna rola tzw. szarej jednostki w zakresie interesujących nas spraw faktycznie i praktycznie sprowadza się do tego, że może ona tworzyć grupy nacisku lub wchodzić w ich skład, by na „decydentach” wymuszać odpowiednie poczynania, obecnie najczęściej sprowadzające się do zamykania pewnych uciążliwych dla otoczenia zakładów przemysłowych, najbardziej zanieczyszczających atmosferę i uwalniających wielkie ilości szkodliwych związków chemicznych. Fakt, iż społeczeństwo polskie ma dzisiaj aprobowany przez siebie rząd premiera Mazowieckiego, że w związku z tym słowo „decydent” wyszło z mody i użycia, istoty rzeczy nie zmienia. W poczynaniach zbiorowych ciągle bowiem oczekuje się, iż przez różne formy nacisku, najczęściej przez spektakularne manifestacje, wymusi się pewne działania doraźne. Tu zaś pojawia się prawdziwe, niezbyt jednak widoczne gołym okiem, niebezpieczeństwo, iż likwidacja spektakularnych przejawów zagrożenia stępując i tak w istocie nikłą — że tak rzecz nazwę — „wrażliwość i świadomość ekologiczną” spowoduje odsunięcie omawianych tu problemów na plan dalszy. Będzie to w praktyce oznaczało, iż faktycznie wciąż jeszcze nie ukształtowana zbiorowa świadomość ekologiczna nader niebezpiecznie ewoluować będzie w kierunku form kalekich, któ-

rych kształtu i postaci zresztą zupełnie nie jesteśmy w stanie w tej chwili przewidzieć. O tym, iż jest to zagrożenie ze wszech miar możliwe, przekonują dwa przynajmniej fakty. Pierwszym jest wielka intensywność przeżywanych przez nas ważnych wydarzeń politycznych, społecznych i gospodarczych, wysuwających na plan pierwszy kwestie o istotnym znaczeniu dziejowym (takie choćby, jak sprawa zjednoczenia Niemiec i jej następstwa dla Polski i Polaków). Pozorne a spektakularne rozwiązanie pewnych problemów np. lokalnych (zatem: np. likwidacja jakiegoś uciążliwego zakładu przemysłowego) odsuwać będzie na plan dalszy owe kwestie ekologiczne, w nieprzypadkowy sposób zwiększając rangę coraz to pojawiających się problemów politycznych czy ekonomicznych. Po drugie zaś, nękający nas i absorbujący naszą uwagę współczesny kryzys ekonomiczny powoduje bardzo dziwne, wręcz osobliwe modyfikacje postaw wobec życia. Z jednej strony daje o sobie nader brutalnie znać „wczesnokapitalistyczna” filozofia „mieć”, wyrażająca się w narastającym kulcie dorabiania się, bogacenia poprzez różnorakie formy wyzwalania tzw. inicjatywy. Abstrahując od zagadnienia prawnej legalności pewnych form tego dorabiania i bogacenia się, a nawet abstrahując od związanych z tą problematyką kwestii moralnych, powiedzieć jednak trzeba wyraźnie, iż w owej filozofii „mieć” daje się zauważyć wyraźna supremacja znaczenia interesu jednostki nad interesem zbiorowości. Nie trzeba wielkiej wnikliwości, by zauważyć, że powtarza się tu w pewien sposób historia pozytywistycznego hasła „bogaćcie się”: bogacenie się jednostek w myśl owego hasła miało służyć całemu społeczeństwu, a jednak wystarczyły niepełne dwa dziesiątki lat 1870—1890, by przeko-

nać się, że społeczne korzyści tego hasła są znikome, że nie zlikwidowało ono społecznych napięć a wręcz przeciwnie, zwiększyło je. Otóż śmiem w związku z tym twierdzić, iż owa filozofia „mieć” może stanowić istotną przeszkodę na drodze do rozwiązania owych problemów. Sądzę, iż dalsze wyjaśnienie tego zagadnienia jest zbędne. Z drugiej natomiast strony filozofia „być”, skupiająca uwagę na istnieniu, na życiu uznanym za wartość najwyższą, a zatem filozofia stanowiąca pozornie największego sprzymierzeńca wszelkich działań na rzecz ochrony przyrody i środowiska naturalnego człowieka, w tychże samych warunkach kryzysowych także ulega najróżniejszym dewiacjom i nie zmienia się w poszukiwanie „reguł przetrwania” ludzkiej zbiorowości, oznacza natomiast tworzenie doraźnych nie tyle nawet regulek, co domorosłych sposobów, umożliwiających związanie końca z końcem, przetrwanie od pierwszego do pierwszego, od jednego do drugiego terminu wypłaty renty. Przerażająca karłowatość tej postaci filozofii „być” wynika między innymi z faktu, iż ekonomiczny kryzys spadł na społeczeństwo zupełnie do niego nieprzygotowane, ani intelektualnie, ani też moralnie. Obserwowane jako zjawisko społeczne współczesne polskie formy realizowania owej filozofii „być” faktycznie nie mają postaci zjawiska zracjonalizowanego, w szerokiej więc praktyce społecznej oznaczają (świadomie rzecz upraszczam, nie mogąc tu podejmować próby jej dogłębnej analizy) z jednej strony rozpaczliwe oszczędzanie — wszystkiego, odzieży, jedzenia, pieniędzy, sprowadzają się zatem do świadomej pauperyzacji (nie wiemy jak licznych, z pewnością jednak licznych) pewnych grup społecznych, z drugiej — równie skrajnej — strony wiodą do (po „pseudojanosikowsku”

motywowanych) nieetycznych form postępowania — drobnych kradzieży, oszustw, spadku odpowiedzialności i dyscypliny zawodowej. Ambiwalencja tego zjawiska wiąże się dodatkowo z faktem, iż o ile obiektywna, rzeczywista granica między owymi dwoma filozofiami „mieć” i „być” jest bardzo wyraźna, o tyle w praktyce społecznej mamy tu najczęściej do czynienia z daleko idącą subiektywizacją zagadnienia. Filozofia „mieć” nader często na użytek zewnętrzny, publiczny, w otoczeniu towarzyskim a nawet przed sobą samym, jest ubierana w szatkę słowną filozofii „być”. Mówiąc po prostu oznacza to, że w sytuacjach takich pewni ludzie mawiają: „muszę to i owo mieć, aby być” całkiem subiektywnie i w gruncie rzeczy dowolnie przesuwają dolną minimalną granicę „posiadania” niezbędnego do życia, co pociąga za sobą równie dowolne przesuwanie granic dzielących czyny etyczne od nieetycznych. Werbalna, formalna zgoda z twierdzeniem, iż przewyciężanie kryzysu od wszystkich wymaga ofiar rzadko łączy się z rzeczywistą gotowością do ich ponoszenia. Społeczeństwo polskie nie ponosi ofiar na rzecz wydobycia się z kryzysu — ono raczej biernie godzi się na niedogodności tego okresu i znosi je lepiej czy gorzej. To kwestia tu, w tej chwili mniej dla nas ważna, ale wiąże się ona ze sprawami nader ważnymi dla interesujących nas zagadnień. Minimalizacja filozofii „być” sprowadza się do poszukiwania doraźnych sposobów przetrwania tego kryzysu między innymi dlatego, że faktycznie nikt nie zadbał o to, by poszukać ogólnych rozwiązań społecznych, które jeśli by nie przyczyniły się do instrumentalnego wykorzystania kryzysu dla dobra społecznego, to mogłyby choć umożliwić łagodne jego przetrwanie bez negatywnych skutków dla przyszłości. A przecież było

i jest to możliwe. Mam tu na myśli na przykład zagadnienie wegetarianizmu. Nie zamierzam głosić jego apologii — ani tu miejsce, ani czas po temu, muszę jednak podnieść, że pewne jego aspekty mając doniosłe znaczenie społeczne, wiążą się także z ważnym tu dla nas problemem stosunku do przyrody. Ma bowiem wegetarianizm istotne zalety ekonomiczne, ma zdrowotne, ma także moralne (zdobywanie żywności bez zabijania i zadawania cierpienia), religijne zaś i ascetyczne, jak rzecz nazywają znawcy problemu, jego aspekty, na celu mające fizyczne i moralne doskonalenie człowieka¹ za podstawę mają przekonanie, iż człowiek usytuowany jest nie opozycyjnie do przyrody, lecz stanowi jej część immanentną, podlega jej prawom i żyje wraz z nią, jej zatem stan decyduje także o kondycji człowieka.

Pogląd taki, bardzo pięknie wyrażony przez Romana Ingardena², niezależnie od tego, jak dalece jest prawdziwy, ciągle jeszcze współcześnie nie znajduje powszechnej aprobaty, a nawet traktowany jest niechętnie czy wręcz odrzucany i to w imię najwyższych humanistycznych racji, w istocie błędnych i opacznych.

Ta sprawa wymaga krótkiej dygresji. „Mylna wiara w tak zwany postęp”³, ściśle zresztą związana z ludzkim sprzeciwem wobec „porządku świata nieukierunkowanego na cel”⁴, kazała człowiekowi przez całe wieki dążyć do podporządkowania sobie przyrody, tworząc iluzję, iż człowiek jako „pan i posiadacz natury” (tak to nazywał Kartezjusz) ma nie tylko prawo do jej przekształcenia, ale i obowiązek jej modyfikowania na swoją ludzką miarę. Bacon i Kartezjusz, Kant i Engels, nawet chrześcijański filozof Paul Claudel na różne sposoby wyrażali tę myśl o prawie i obowiązku człowieka do rządzenia przyrodą,

utrwalając eksploatorskie wobec niej postawy i sankcjonując jej wyzysk. Z tej tradycji wywodziła się — tak logicznie atakowana przez Jana Gwalberta Pawlikowskiego — opozycja między pojęciami i zjawiskami „natury” i „kultury”⁵. Wystąpienia Pawlikowskiego okazały się jednak, mimo ich niewątpliwiej wartości i mimo ich faktycznego oddziaływania, w tym sensie „głosem wołającego na puszczy”, że po owej wielowiekowej tradycji odziedziczyliśmy (my: Europejczycy, my: ludzie) to właśnie złudne przekonanie o jakiejś wyższości człowieka nad przyrodą, o zewnętrznym usytuowaniu człowieka wobec przyrody, każącym myśleć nie o „człowieku w przyrodzie” (jako jej części), ale o „człowieku wobec przyrody”⁶.

Ten właśnie sposób myślenia trzeba zmieniać i jest to zadanie bodaj najważniejsze, bowiem bez zasadniczej modyfikacji tego fałszywego poglądu nigdy nie dojdziemy do wykształcenia właściwych postaw wobec przyrody, takich zatem, które by gwarantowały jej ochronę na miarę potrzeb i oczekiwań nie tylko nam współczesnych, ale na miarę potrzeb pokoleń, które przyjdą po nas. Bodaj wszyscy u nas rozumieją niezwykłą wyjątkowość obecnego momentu dziejowego z jego aspektami politycznymi, społecznymi i ekonomicznymi. Prawdę mówiąc, mało kto docenia dzisiaj ważność tego momentu z ekologicznego punktu widzenia (by tak rzecz nazwać w skrócie). Owa zaś ważność polega nie tyle na tym, że usiłujemy dziś likwidować poprzez różne poczynania instytucjonalne skutki niewłaściwej postawy wobec przyrody, zamykając uciążliwe dla środowiska zakłady przemysłowe, ile na tym, że w ciągu dość krótkiego czasu konieczne trzeba doprowadzić do zbudowania nowej świadomości zbiorowej, w której

każda jednostka uzna swoją odpowiedzialność za losy środowiska życia ludzkiego i każda jednostka pojmie, że tyleż ma możliwość wpływania na owo środowisko, ile i obowiązek dbania o nie. Wśród bowiem negatywnych skutków minionego czterdziestopięcioletnia widzieć trzeba nie tylko bezpośrednio zniszczenia poczynione w oczyszczonej przyrodzie, ale także faktyczny zanik poczucia odpowiedzialności jednostek za lice naszej ziemi. Ów zanik poczucia odpowiedzialności ujawnia się w drobiazgach — góralskim wyrzucaniu śmieci „do potoka”, myciu samochodów w strumieniach, wiosennym wypalaniu traw, lekceważeniu — i to nagminnym — przepisów o ochronie przyrody, rabunkowym zbieraniu grzybów i jagód — ale te drobiazgi mają daleko idące następstwa. Równie daleko idące następstwa będzie miało przyjęcie dzisiaj pewnych koncepcji rozwoju gospodarczego, które w przyszłości kształtować będą wygląd krajobrazu i stan przyrody w Polsce. Stąd także uzasadniony niepokój budzić musi fakt ciągłego (piszę te słowa pod koniec lutego 1990 r.) zaniechania prac legislacyjnych, związanych z nowymi ustawami o ochronie środowiska i przyrody, równy zaś niepokój musi budzić nielogiczna tendencja do wpisania zagadnień ochrony przyrody w ustawę o ochronie środowiska, choć, bowiem strategię ochrony przyrody i środowiska zmierzają w tym samym kierunku, to jednak inne są ich cele szczegółowe. Niezbędna jest tu przy tym szybkość działania, idzie bowiem o to, o czym myślał u nas już Jan Gwalbert Pawlikowski, by przepisy prawne regulujące ochronę przyrody stały się regulatorem różnorodnych form działania gospodarczego. Expressis verbis powiedziane to zostało w Światowej strategii ochrony przyrody — we wska-

zaniach tych wyraźnie zaakcentowano polityczne przesłanki integracji ochrony przyrody z rozwojem społecznym: „Aby osiągnąć cele ochrony, rządy powinny rozwiązać ostatecznie poglądy, iż ochrona przyrody jest oddzielnym i niezależnym resortem, skupiającym się głównie na sprawach fauny i gleby, oraz że czynniki ekologiczne są rozwoju zawadą na drodze rozwoju (zawadą, którą w jednym przypadku można bezpiecznie pominąć, w innym zaś uwzględnić po prostu w pojedynczym projekcie technicznym, a nie jako sprawę polityki). Niestety, poglądy takie znajdują wciąż szerokie odbicie w głoszonych i w ich realizacji. Tak ciasne rozumienie ochrony przyrody ma co najmniej trzy ważne następstwa. Po pierwsze — ekologiczne skutki partykularnej polityki rozwoju dają się rzadko przewidzieć, a więc polityka nie jest zdolna w porę uniknąć kosztownych błędów. Po wtóre — resorty bezpośrednio odpowiedzialne za żywe zasoby (jak rolnictwo, leśnictwo, rybołówstwo, łowiectwo) są zwykle skłonne skupiać się na produkcji kosztem ochrony, skutkiem czego zasoby, z natury rzeczy odnawialne, zostają roztrwonione, a ich użytkowanie w przyszłości przekreślone. Po trzecie — niedostatki ochrony przyrody mogą przyczynić się do udaremnienia polityki innych resortów”⁷. Te właśnie sprawy najżywotniej dzisiaj nas dotyczą, gdy usiłujemy od nowa organizować formy życia zbiorowego w Polsce. Idzie o to, by polityki poszczególnych resortów względem siebie nie były sprzeczne, a także, by owa polityka ochrony przyrody była „jasno wyrażona i szczerą”⁸.

Z zalem też stwierdzić trzeba, że jak dotąd (luty 1990 r.) zasady tej polityki u nas nie zostały wyłożone, bo też jeszcze nie zostały one sformułowane. Nawoływania garstki kompetentnych znawców problemu ciągle zostają bez

echa, werbalne zaś deklaracje posłów i senatorów o decenianiu wagi problemu nie wyrastają z ich kompetencji i znajomości rzeczy, ale z dobrej woli, która w takich sprawach zwykle okazuje się iluzoryczna. Nasza nadzieja na wyjście z kryzysu może nas bezwiednie zapędzić w ślepe zaułki tak zwanego „gospodarczego wzrostu” z wszystkimi jego niebezpieczeństwami, które mogą się nałożyć i zapewne się nałożą na fatalne następstwa błędnej polityki prowadzonej przez niemal pół wieku. Motorem naszych obecnych działań jest bowiem nadzieja na wyjście z kryzysu, tożsama z nadzieją na osiągnięcie tak zwanego dobrobytu. Mówiąc bardziej obrazowo, chcąc wyjść z dołka, w którym się obecnie znajdujemy, usiłujemy nabrać rozpędu takiego, by znaleźć się (choć w tej chwili są to tylko marzenia) możliwie najwyżej, nie dostrzegając, że właśnie teraz zacząć trzeba myśleć o nacieraniu tempa, ale i o włączeniu hamulców. Używając słów Edwarda J. Mishana⁹ już dzisiaj zagraża nam znalezienie się „w niewoli wzrostu gospodarczego”, jeżeli w tej niewoli nie tkwimy od czasu podjęcia pierwszych kroków w kierunku przezwyciężenia kryzysu. Przeważająca większość naszej zbiorowości marzy o tym, by stać się klasycznym, typowym społeczeństwem konsumpcyjnym — bardziej chce „mieć”, niż „być”, skłonna jest bowiem wierzyć, że rozwój gospodarczy zautomatyzuje rozwiązanie dręczących problemów ekologicznych. Wiara w możliwość „prawidłowego”, a zatem korzystnego dla wzrostu gospodarczego i bezpiecznego dla środowiska i ludzi rozwoju ekonomicznego znów staje się mitem naszej współczesności. Obawiam się, że jest to, w sporej przynajmniej części, repetycja bolesnej lekcji, jaką przerabialiśmy w pierwszych latach Polski Ludowej, gdy dymiące kominy fabryczne

i kobiety na traktorach symbolizować miały nowe jakości życia oraz socjalistyczny rozwój gospodarczy i społeczny. Tamtej złej i bolesnej w skutkach lekcji (także w innej postaci) powtarzać nam nie wolno i dlatego powinniśmy mieć pełną świadomość dopuszczalnych granic owego rozwoju i wiedzieć, że granic tych absolutnie przekraczać nie wolno.

Brzmi to jak sugestia ograniczenia społecznych aspiracji, nadziei i oczekiwań, a nawet jak sugestia hamowania inicjatywy, wstrzymywania — jeszcze przecież nie w pełni wykształconych — form nowych działań gospodarczych, ekonomicznych, społecznych i można by nawet pomyśleć, że kryją się w takim myśleniu załączki zamachu na naszą biedną, raczkującą dopiero demokrację, pozwalającą czynić człowiekowi to, co chce i może. W istocie jednak rzeczy idzie w jakiejś mierze o nawrót do koncepcji ongiś sformułowanych przez J.G. Pawlikowskiego, a zatem o uzyskanie powszechnej społecznej aprobaty dla tej godziwej skali wartości, o której przekonywająco pisał Julian Aleksandrowicz:

„Wydaje mi się nie tylko uzasadnione, lecz wręcz niezbędne, by uznano za złe te działania człowieka, które dodają do i tak już nadmiernych cierpień egzystencjalnych — cierpienia pochodzenia środowiskowego (tzn. takie, których źródłem jest zakłócenie środowiskowej równowagi). Powoduje to skracanie życia wskutek uszkodzenia struktury i funkcji narządów ciała. W konsekwencji więc formy współżycia ludzi wiodące ku temu, co sprzyja zdrowiu — określałam jako dobre. Tak rozumując nie będziemy niszczyć biosfery i zakłócać tym samym zdrowia własnego i innych, gdyż nasze postępowanie podporządkowane będzie sumieniu ekologicznemu”¹⁰.

Świadomie odsyłając słuchacza i czytelnika do prac prof. Aleksandrowicza, w których wyklada on sens tego pojęcia i rozwija związane z nim myśli (uznając zresztą te prace za lektury podstawowe dla wszystkich bez wyjątku)¹¹, podkreślamy to mocno, że fundamentem owego sumienia ekologicznego, którego tak bardzo brak naszej współczesności, jest racjonalne uznanie człowieka-li tylko i zarazem aż — za czynnik składowy przyrody i własnego środowiska¹², połączone z uznaniem życia za wartość najwyższą.

Pogląd pierwszy, jak wyżej wspomniałem, nie cieszy się dzisiaj wzięciem i uznaniem, budzi raczej niechęć niż aprobatę. Gdy idzie o docenianie wartości życia, to zaryzykować można twierdzenie, iż żyjemy w epoce, która formalnie tę wartość uznaje w tysięcy deklaracjach, w praktyce życia jednak pomiata nią w sposób straszliwy. Obserwujemy to i u nas i nie ma powodu, by nie zgodzić się z poglądem J. Aleksandrowicza, że „kryzys etyki, łączący się (...) z kryzysem ekologicznym, przejawia się właśnie w naszym wyłącznie deklaratywnym stosunku do zasady, „nie zabijaj niepotrzebnie innych form życia”. Nasycanie świadomości społecznej całego świata pojęciami biologicznymi, że są one ze sobą zwrotnie sprzężone, że wzrastanie kryzysu ekologicznego pociąga za sobą narastanie kryzysu etycznego, natomiast przejawy kryzysu etycznego negatywnymi skutkami ciążą na kryzysie ekologicznym. Po drugie, iż osiągnąć musimy nie ewolucyjne, lecz rewolucyjne przemiany świadomości. Mówiąc inaczej, ale wciąż słowami prof. Aleksandrowicza, idzie tyleż o ukształcenie — wreszcie — polskiej świadomości ekologicznej, ile — bardziej jeszcze — o obudzenie sumienia ekologicznego. Na tym zaś polu Polskie Towarzystwo Turystycz-

no-Krajoznawcze przez różne formy swej działalności dokonać może wiele, bardzo wiele, a może nawet wyjątkowo wiele, co jednak zależeć będzie od rozsądnego programowania jego działalności i skutecznego jej realizowania.

Ogólny cel owych działań wytyczony został w trzech najważniejszych postulatach Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody i Zasobów naturalnych: 1) utrzymanie podstawowych procesów ekologicznych i systemów będących ostoją życia, 2) zachowanie różnorodności genetycznej. 3) zapewnienie trwałego użytkowania gatunków i ekosystemów¹⁶.

Spełnienie tych warunków priorytetowych pociągnie za sobą korzyści w innych, bardziej szczegółowych aspektach problematyki. PTTK w tym zakresie nie będzie ani prowadzić prac naukowych, ani też budować ogólnych, strategicznych programów rozwoju polskiej gospodarki i polskiego społeczeństwa, może ono natomiast odegrać istotną rolę w budzeniu owego sumienia ekologicznego przez szerokie podjęcie działalności propagandowej i edukacyjnej, by jej rezultatem stało się zbudowanie powszechnego, zbiorowego przekonania uznającego przyrodę za istotną i rzeczywistą wartość.

Uznanie jakiegoś zjawiska za wartość jest czynnikiem kształtującym ludzkie zachowania. Otóż w gruncie rzeczy w polskiej (nie tylko) świadomości zbiorowej, przyroda ciągle jeszcze do rzędu takiej wartości sugerującej wybór ludzkiego postępowania nie awansowała. Podejmując różne działania kierujemy się wartościami. Nie będę się tu szeroko wdawał w teoretyczne aspekty zagadnienia „wartości”¹⁷, podkreślając tylko, że wszelkie wartości związane są ze zjawiskami społecznymi, że wyznaczają one postawy i zachowania, aczkolwiek ich formułowanie nie musi iść w parze z konkretnymi czynami (to

właśnie nie raz obserwujemy dzisiaj). Idzie zatem o stworzenie sankcji moralnej i prawnej dla uznania pewnych wartości. Celowo na plan pierwszy wysuwam aspekt moralny, bowiem rozgraniczenie dobra i zła w postępowaniu opierać się powinno nie na obawie przed działaniem mechanizmów represyjnych (które zresztą muszą być skuteczne — bez konsekwentnego realizowania prawa celu się nie osiągnie: żeby działać skutecznie represyjnie i wychowawczo kara musi być odczuwalna — nie jest zaś odczuwalna, gdy za poważne zanieczyszczenie rzeki ściekami płaci się 3000,-zł kary). Uznając za Romanem Ingardenem, iż istotą wartości jest w nich to, co nas skłania do sądzenia, iż przyroda jest nośnikiem wartości poznawczych, skoro poznanie jej praw i jej zjawisk tworzy istotę naszego systemu wiedzy o świecie. Sądzę jednak, iż w działalności propagandowej, edukacyjnej rzecz warto w szczególności ukierunkować, przykładem zaś dobrym takiego ukierunkowania jest dla mnie to, co czynił w trakcie swoich badań nad roślinnością miejską doc. dr. hab. Janusz Janecki z SGGW. Przedmiotem jego obserwacji były najróżniejsze liche roślinki wegetujące na chodnikach wielkiego miasta, pod murami domów, każdy więc dokonywany przez niego pomiar budził z reguły zaciekawienie przechodniów. Doc. Janecki zwykł swych przypadkowych interlokutorów informować o tym, ile ołowiu wchłonęła dana biedna roślina i dlaczego nie mogła się lepiej rozwinąć, uzmysławiając im, że tę samą ilość ołowiu wdycha wielkomiejski przechodzień. To przykład jeden z wielu możliwych.

Podobnie nie sądzę, aby w gronie wytrawnych turystów trzeba było w sposób szczególny uzasadnić znaczenie estetycznych wartości przyrody,

sądę natomiast, że przedmiotem szczególnych zabiegów edukacyjnych i perswazyjnych uczynić by należało uprzytamnianie, iż o odrębności i specyfice Polski jako krajobrazu, jako przestrzeni naszego wspólnego bytowania przesądza przede wszystkim przyrodnicze oblicze owego krajobrazu. Fakt, iż wkroczyliśmy do międzynarodowej wspólnoty brzydoty oznacza w praktyce zacieranie elementów naszej tożsamości etnicznej i kulturowej. Nie chciałbym tu powtarzać spraw, o których już parokrotnie na innych miejscach pisałem, atoli chcę uprzytomnić to jedynie, iż wchodzi tu w rachubę także istotne wartości socjalne — obyczajowe na przykład²⁰. Dość w roli przykładu wspomnieć, iż jednym z wyznaczników polskości było dla Norwida, iż jest to kraj, gdzie „winą jest dużą popsować gniazdo na gruszy bocianie”...

Podobnie zresztą oczywista sfera wartości wiąże się z uznaniem moralnego aspektu wartości przyrody. Znow w rachubę wchodzi tu uznanie wartości najwyższej: życia, trwania. Nasze zbiorowe sumienie ekologiczne (i tu znow odzywa się etyczny aspekt zagadnienia) musi powszechnie uznać — jak to pięknie kiedyś napisał Stanisław Brzozowski — że „pora przestać z góry spoglądać na życie. Życie jest najwyższą miarą, ostateczną i jedyną wartością” (Brzozowski do innych spraw tę myśl odniósł, ale jej rzeczywisty sens i tu się sprawdza). Nie mamy żadnego prawa do zadawania innym elementom przyrody cierpienia, nic bowiem nas do tego nie upoważnia. Jeśli cierpią przez nas zwierzęta i rośliny²¹, to dopuszczamy się przewiny przeciwko życiu. Jeśli działamy na szkodę drugiego człowieka, to dopuszczamy się przewiny przeciwko życiu. Jeśli niweczmy własne zdrowie, dopuszczamy się przewiny przeciwko życiu.

Także i tego aspektu sprawy rozwijać szczegółowo dalej nie będę; był on niejednokrotnie już podnoszony, ramy zaś niniejszej wypowiedzi są ograniczone.

Jeśli zgodzimy się z uznaniem tych wartości przyrody — a wyboru nie mamy, zgodzić się z ich istnieniem musimy, to nie zostaje nam nic innego, jak przejść do krótkiego sformułowania praktycznych postulatów. Otóż twierdę z przekonaniem, że PTTK stać się powinno gorliwym i skutecznym inicjatorem wielkiej akcji propagandowej na rzecz budowy zbiorowego sumienia ekologicznego, eksponując mocno właśnie owo zagadnienie wartości przyrody. W sferze poczynań wewnętrznych widzę tu takie przede wszystkim możliwości, jak szerokie wprowadzenie do kanonu lektur obowiązkowych w toku różnych szkoleń, np. przewodniczkich, tych licznych już ważnych prac, które budować usiłują nowe sumienie ekologiczne i nowy typ postawy człowieka wobec świata, że wspomnę tu o cytowanych przeze mnie pracach prof. Aleksandrowicza czy dzieł takich, jak Mishana: Spór o wzrost gospodarczy, René Dubosa: Pochwała różnorodności, Konrada Lorenza: Regres człowieczeństwa czy Philippe Saint-Marc: Przyroda dla człowieka, bądź Jeana Dorsta: Siła życia. Nasi aktywiści, przewodnicy i przodownicy, organizatorzy turystyki muszą się stać rzeczywistymi nauczycielami owych nowych postaw, gorliwymi rzecznikami prawdziwego sumienia ekologicznego. W tym kierunku należałoby także zaprogramować serię sympozjów i imprez popularnych, organizowanych we współpracy z Ligą Ochrony Przyrody, Komitetem Ochrony Przyrody PAN, Dyrekcjami Parków Narodowych (z którymi toczymy więcej wojen niż współdziałamy, prawdę mówiąc, nie zawsze mając rację). W działaniach zewnętrznych PTTK stać się po-

winno silną grupą nacisku (Że jest to w stanie czynić, dowiodła batalia w sprawie „Kolorowego zawrotu głowy”), występującą tyleż wszędzie tam, gdzie pojawiają się nowe zagrożenia, ile domagającą się od resortu oświaty daleko idącej przebudowy (zdaniem znaczących niezadowolającego) sposobu nauczania przyrody w szkołach. Idea ekologii nasycone być powinny, służące także sprawie budzenia sumienia ekologicznego, turystyczne przewodniki, wydawane pod auspicjami naszego Towarzystwa. I nie idzie tu o akcję, lecz o szeroką ofensywę, o ustalenie za najważniejszy kierunek działań spraw związanych z tą problematyką. Możemy i powinniśmy domagać się od środków przekazu zwiększenia i racjonalizowania tej problematyki — prezentowania w jej nowym kształcie.

I sądzę, że zbiorową mądrością i zbiorowym działaniem możemy uczynić lata najbliższe dekadą walki o uznanie naszej polskiej przyrody za wartość najwyższą, najważniejszą. Bowiem nasze życie takie jest, jaka nasza przyroda i nasz stosunek do przyrody, nasze zaś życie takie będzie, jaką będzie nasza przyroda. To wszystko jest niemal oczywiste — i zarazem jest bardzo trudne, bo zawsze złudna jest zmiana ludzkiej mentalności, ludzkiego sposobu myślenia, ludzkiego systemu wartości. Apeluje zatem o powołanie specjalnego zespołu, który by się zajął opracowaniem w ramach naszego zespołu odpowiednich dyrektyw i przedstawił je zgromadzeniu plenarnemu jako projekt uchwały ogólnej, obligującej PTTK do rozpoczęcia owej kampanii, której hasłem przewodnim będzie uznanie za naczelną wartość organizującą nasze życie zbiorowe, nasze trwanie, nasze istnienie.

Przypisy

1. Por.: K. Wiśniewska-Roszkowska, *Wegetarianizm*, Warszawa 1987, s. 8.
2. Zob.: R. Ingardena szkic *Człowiek i przyroda* w jego książce *Książeczka o człowieku*, wyd. 4, Kraków 1987, s. 13—25.
3. Por.: K. Lorenz, *Regres człowieczeństwa*, Warszawa 1986, s. 12—13.
4. Tamże, s. 13—14.
5. Najważniejsze prace Pawlikowskiego i opinie o nim wymieniam w rozprawie *W pięćdziesięciolecie śmierci Jana Gwalberta Pawlikowskiego*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1989, nr 3, s. 313—330.
6. Por.: R. Ingarden, op. cit., s. 13—14.
7. *Światowa strategia ochrony przyrody. Ochrona żywych zasobów dla trwałego rozwoju*. Przełożył z angielskiego prof. dr hab. Romuald Olaczek, Warszawa 1985, s. 74.
8. Por.: tamże, s. 75.
9. Zob.: E.J. Mishan, *Spór o wzrost gospodarczy*, Warszawa 1986.
10. J. Aleksandrowicz, *Sumienie ekologiczne*, Warszawa 1988, s. 21.
11. Zob.: tegoż: *Nie ma nieuleczalnie chorych*, Warszawa 1982; *Literatura a zdrowie społeczeństwa*, Warszawa 1973; *Biosfera a zdrowie społeczności*, wyd. 2, Kraków 1978.
12. Por.: J. Aleksandrowicz, *Sumienie ekologiczne*, s. 125; R. Ingarden, op. cit., s. 14—17.
13. J. Aleksandrowicz, *Sumienie ekologiczne*, s. 37.
14. J. Dorst, *Siła Życia*, Warszawa 1987, s. 89.
15. J. Aleksandrowicz, *Sumienie ekologiczne*, s. 126.
16. Światowa strategia ochrony przyrody, s. 15.
17. Szeroki, logicznie usystematyzowany przegląd tych zagadnień dał, gromadząc obserwacje z wielu różnych prac o różnych orientacjach A. Matuszczyk, *U źródeł ideologii taternictwa*. (O wartościach estetycznych przyrody Tatr w „Ziemiorództwie Karpatów” Stanisława Staszica), Kraków 1985, s. 32—40.
18. R. Ingarden, *Przeżycie, dzieło, wartość*, Kraków 1966, s. 98.
19. Tamże, s. 85.
20. Zainteresowanych odsyłam do mojej książki *Ochrona przyrody i kultura*, która powinna ukazać się jeszcze w bieżącym, 1990, roku w Państwowym Wydawnictwie Naukowym w Warszawie, gdzie liczne przekłady.
21. Por.: zasługujący na szerokie upowszechnienie referat prof. dr Jerzego Fabiszewskiego *Reakcje stresowe roślin w środowisku przemysłowym* wygłoszony na XXIV Zjeździe Polskiego Towarzystwa Botanicznego w Katowicach we wrześniu 1989 r.